№ 18 (Rok Piąty.) MAGAZYN POWSZECHNY. (Pierwsze Półrocze 1838.)

POŻAR GIEŁDY LONDYŃSKIÉJ.



(WIDOK ZEWNĘTRZNY GIEŁDY.)

Giełda, jedna z najwspanialszych ozdób Londynu, stała się dnia 10 stycznia r. b. pastwą pożaru, jakiego od dawna to miasto nie pamięta. Strata dla stanu kupieckiego, równie jak dla całego narodu, dotąd jeszcze nie może bydź obrachowaną; prócz tego wypadek ten wielkie zamięszanie zaprowadził w handlu. Przed czterystą laty nie mogli londyńscy kupcy szczycić się właściwą giełdą. Zgromadzali się jeszcze wówczas na Lombardowéj ulicy, wraz z lombardzkiemi żydami, od których ulica ta miano swe przybrała, a którzy wówczas byli bankierami całéj prawie Europy. Tam zapewne mieli także swoje banki i załatwiali interessa. W roku 1534 nakoniec, Sir Ryszard Gresham, agent Henryka VIII w Antwerpii, poznawszy zapewne jak wielkie korzyści spływały dla tego miasta z giełdy, starał się namówić króla i radę londyńską aby podobny gmach wystawili na Leaden-hall. Rada jednakże osądziła, iż to miejsce nie będzie dogodném dla odbywających interesa, i z tego względu nie przystała na jego wniosek. Pod panowaniem królowéj Elżbiety, Tomasz Gresham, ówczesny agent w Antwerpii, doprowadził szczęśliwie do skutku to co się ojcu jego nieudało. Roku 1564 uczynił mieszczanom wniosek, że byle mu tylko dostarczyli plac na budowę w odpowiedniém miejscu, własnym kosztem zbuduje giełdę z przykrytemi chodnikami, w któréjby kupcy o każdéj roku porze, i niezależnie od pogody, interesa swoje załatwiać mogli. Obywatelstwo przychyliło się z równąż hojnością do jego wniosku, i roku 1566 zakupiono kilka budowli i placów w Cornhill za 3,530 funtów szterlin: Grunt został kosztem miasta zrównany i oddany pod zarząd Sir Tomaszowi Gresham,

który 7 czerwca 1567 założył na nim węgielny kamień nowéj giełdy.

Plan podług którego Gresham gmach ten wystawił, całkiem miał za wzór Antwerpską giełdę; otwarty plac zamknął czworobokiem wysokich kamiennych budynków, otoczonym kolumnadą spoczywającą na doryckich marmurowych słupach, po nad któremi wznosił się gzyms z jońskiemi słupy i niszami, a w nich stały posągi królów angielskich. Dwa były wyjścia, jedno na Cornhill, drugie na Broad-Street. Nad piérwszém, pomiędzy dwiema jońskiemi kolumny, wznosił się herb królewski, nad drugiém herb miasta i Sir Tomasza Gresham. Od strony północnéj wybiegała koryntska kolumna, równéj wysokości co wieża, zdobiąca wystawę gmachu. Pod arkadowym przechodem znajdowały się sklepy, do których z północy i południa prowadziły schody. Na piérwszém piętrze znajdowały się także sklepy, tworzące pewien rodzaj bazaru, *Pawne* zwany. Sklepy te jednakże wkrótce nieodpowiedziały oczekiwaniu założyciela, gdyż kupcy, pomimo wszelkich niedogodności, jakowe gdzieindziéj znachodzili, nie mogli się dać namówić do ich najmowania.

Gmach już od czterech lat blisko był otwartym, gdy królowa Elżbieta okazała życzenie obejrzeć go. W dniu oznaczonym obiadowała u założyciela, i udała się nakoniec przez południowe wejście do giełdy. Gmach nadzwyczaj jéj się spodobał, i rozkazała aby na przyszłość nie zwał się „*Bourse*" lecz „*Royal Exchange.*" Rozkaz ten przy odgłosie trąb po całém mieście został ogłoszonym.

Gmach jednakże nie był zbyt mocnym, gdyż w czternaście lat po jego zbudowaniu, niektóre słupy tak chylić się zaczęły, iż kupcy bez narażenia życia przechodzić pod niemi nie mogli. Naprawa kosztowała niesłychane summy, aż nakoniec roku 1666, cała budowa przez pożar zniszczoną została. Nowa giełda, do któréj architekt Jarman planu udzielił, szybko wzniosła się na popiołach dawnéj, i 28 września 1669, całkowicie ukończoną została, kosztem składki gminy *City* i kupiectwa, w summie 58,962 funtów szterling: Od tego czasu znaczne zaszły naprawy i zmiany w tym gmachu; największe zaś w latach 1820-26, pod przewodnictwem architekta Jerzego Smith, których koszta do 33,000 funt. szt. wyrachowano; same kamienne schody, ze strony północnéj, południowéj i wschodniéj kosztowały blisko 6000 funt. szterlingów.

Giełda leży w środkowym punkcie *City*, i otoczona jest innemi gmachy, jak np. Bank, Mansionhouse i t. d. Cała budowa zajmowała obszar 203 stóp dlugi a 170 szeroki, zamykając w sobie dziedziniec mający 61 kwadratowych prętów. Obie wystawy ozdobne kolumnami miały dwie wysokie bramy; nad południową, 56 stóp wysoką, wybiegała piękna wieża, dopiero r. 1821 zbudowana, zawierająca w sobie muzykę dzwonową, złożoną z ośmiu dzwonów. Wnętrze, otoczone budynkami przedstawiało piękny czworobok; w pośrodku jego stał posąg Karola IIgo w rzymskiéj szacie, który właśnie podczas budowy giełdy wstąpił na tron angielski. W niszach około wybrukowanego placu stały posągi: królów angielskich, Tomasza Gresham i aldermana Sir Johna Barnard. Nad południowym wchodem napis umieszczony po odbudowaniu giełdy: „*Hoc Greshamii peristylium gentium commerciis sacrum flammis extinctum* 3 *sept.* 1666 *augustius e cinere resurrexit* 1669." Na tym dziedzińcu można było widzieć codziennie, od ósméj zrana aż do czwartéj poobiedzie, upstrzony tłum kupców wszystkich narodów, odbywających swoje interesa bądź pod golém niebem, bądź pod kolumnami. Można dać wyobrażenie handlowego ruchu panującego w tém mieście, przez obrachowanie osób wchodzących samą tylko południową stroną, a liczba ich w przecięciu codziennie 200,000 wynosi. Dolne sklepy obsadzone zostały meklerami, członkami assekuracyjnego banku i kupcami. Do galeryj znajdujących się po nad kolumnadą, wiodły piękne kamienne wschody. Tutaj znajdowały się pokoje w których załatwiano czynności giełdowe, bank assekuracyjny, kawiarnia zwana Lloyd, gdzie się zwykle marynarze zbierali, i oprócz tym podobnych zakładów, kilka sal, gdzie podług testamentu Greshama, miano odczytywać rozprawy o różnych gałęziach umiejętności; lecz te bardzo rzadko były uczęszczane. Kawiarnia Lloyd, która tak szeroko-głośną sławę pozyskała, istniała już od dawna, lecz że w roku 1772 handel Wielkiéj Brytanii tak znacznie się powiększył, iż dawny lokal nie mógł w sobie objąć mnóstwa schodzących się kupców, przeniesiono ją do giełdy. Składała się z trzech wielkich sal, z których piérwsza, zwana Subskrypcyjną, 74 stopy długa, 19 szeroka a 18 wysoka, otworzona została roku 1786; druga 85 stóp długa, 21 szeroka, otworzona roku 1791; trzecia 61 stóp długa, 20 szeroka, otworzona 1802 roku.

Oto najdokładniejszy rys składu dawnéj świątyni Albiońskiego handlu, z któréj kupcy negocyacye swoje na wszystkie strony świata rozszerzali. Z całéj téj przepysznéj budowy pozostały dzisiaj tylko mury czterech gmachów

i wieży. Jedynie posąg Karola IIgo nietykalny wznosi się po nad gruzy, gdy tymczasem posągi jego poprzedników leżą przywalone ogromem odłamów i popiołów.

Dziesiątego stycznia roku bieżącego, o dziesiątéj z wieczora, nocny stróż postrzegł ogień w kawiarni Lloyd. Sądzą iż się wszczął w kuchni, i od kilku już godzin tlał niepostrzeżony. Na krzyk *gore!* z największą szybkością poskoczyły bankowe sikawki; zgromadził się natychmiast oddział straży policyjnéj, stróżów nocnych i stowarzyszenia ogniowego, i wysłano z całego miasta zgromadzić sikawki. Na nieszczęście, człowiek mający przy sobie klucze od bram giełdowych, mieszkał aż na Greenwich, i nim zdołano wyłamać niezmiernie mocne drzwi, i wprowadzić sikawki na dziedziniec, płomień wybuchał już oknami, i z nadzwyczajną szybkością w południowym szerzył się kierunku. Całe sąsiedztwo w największéj zostawało obawie, a kupcy, mający składy na przodzie budowy, rączo zaczęli je wypróżniać. Przepowiadano że cała budowa będzie zniszczoną, i niestety! aż nadto sprawdziła się ta przepowiednia. W godzinę po wybuchu pożaru przybyły sikawki ze wszystkich części miasta, lecz nim je w ruch puścić zdołano, musiano piérwéj, z przyczyny straszliwego mrozu, rury i maszynerye gorącą wodą oblewać. Podczas téj zwłoki pożar coraz bardziéj się szerzył, i schłonął cały ciąg sal assekuracyjnych. O dwónastéj, assekuracya, kawiarnia Lloyd i kapitanerya stały w płomieniach, wysoko wystrzeliwających, które wszystkie okoliczne budynki jasnym blaskiem oświecały. Każdy przedmiot tak dokładnie można było rozpoznać jak w południe, a lud takiemi się zbiegł tłumami, iż policya największą miała pracę usunąć go z obrębu na który przepalone upadały belki. O piérwszéj, już północna i wschodnia część gmachu były zniszczone, i olbrzymiemi kroki ogień zbliżał się do dzwonnéj wieży, dopiéro w roku 1821 zbudowanéj. Usiłowania gaszących zdawały się bydź zupełnie bezskuteczne, ogień szalenie po całym rozszerzał się gmachu, chociaż już więcéj niż 20 sikawek było w ruchu. W godzinę późniéj płomienie wieżę ogarnęły, a przestrach i natłok pospólstwa do najwyższego doszedł stopnia. Tysiące głosów wykrzyknęło razem: „Ogień dostał się do wieży! wszystko już stracone!” Pożar przedstawiał istotnie przerażający widok; cała ogromna budowa ognistém stała się morzem, a gorąco tak było wielkie, iż ludzie gaszący, czynności swoich wykonywać nie mogli. Piękna 150 stóp wysoka wieża runęła w popiołach. Wszystkie ośm dzwonów spadły jeden po drugim i zdruzgotały dach i sklepienie po nad środkowym wchodem z przerażającym trzaskiem. Niepodobna opisać sceny jaka wówczas przedstawiła się widzom; chociaż niebo zupełnie było bezchmurne i księżyc w pełnym blasku, zaciemniły je jednakże dymy wzbijające się kłębami. Widząc że ogień nieomylnie ochłonie wieżę, wysłał Lord-Mayor posłańców do Tower przywołać wojsko w pomoc gaszącym; wkrótce rozstawiły się szeregi wzdłuż Cornhill i innych ulic, dopomagając okolicznym mieszkańcom ratować swe sprzęty i zabezpieczyć one. W jednéj chwili usunięto tłumy z ulic, które, na pochwałę ich wyznać należy, jak najprzyzwoiciéj się obeszły, i jedno tylko uczucie całe to mnóstwo zdawało się ożywiać — żal. Każdy spoglądał na pożar z bojaźnią i podziwieniem, i wyrażał obawę aby także Bank i poblizki kościół Śgo Bartłomieja nie stały się jego pastwą. Na szczęście, wiatr zaczął wiać od północy, obie budowy zostały nietknięte, i posłużyły na skład wielu kosztownych rzeczy. W kościele pozostały nietknięte bankowe bilety po 500 funtów szter:, chociaż nieprzeliczone tłumy przechodziły koło niego téj nocy. O czwartéj zrana jeszcze wściekły gorzał ogień, a wiatr, dmący przez całą noc coraz na nowo go podniecał. Ogromny dziedziniec był morzem ognia, ogień szerzył się od skrzydła do skrzydła, z piętra na piętro, a niezmordowani pracownicy nie widzieli najmniejszego skutku dzielnych swoich usiłowań. Wielu z nich stało po kolana w wodzie, całkiem lodem okrytych, woda ze wszech stron okrążała giełdę. Zagłuszającą była walka żywiołów, spadek ogromnych mass kamiennych, skrzypienie sikawek, krzyki ratujących. Mury we wnętrzu giełdy z piorunnym upadały łoskotem, zagrzebując pod swojemi gruzy nieprzeliczone posągi królów angielskich, począwszy od Wilhelma Zdobywcy. Wysoka wieża całkiem była przepalona, i każdéj chwili groziła obaleniem. O piątéj jeszcze wrzały płomienie, lecz pobliskie budynki nie były już przynajmniéj w niebezpieczeństwie. Jeszcze wieczorem dnia następnego grube chmury dymu wydobywały się ze zgliszczów.

Wiele osób znacznie zostało pokaleczonych, ale szczęściem nikt życia nie utracił. Strata nadzwyczaj jest wielką, a pochodzące ztąd przerwanie interesów, nieobrachowane za sobą ciągnie szkody. Wiele ksiąg i papierów spłonęło. Uratowano jednakże niemało żelaznych skrzyń z kosztownemi przedmioty, chociaż błędnie niektóre dzienniki ogłosiły, iż w popiół obrócone zostały. Giełda zabezpieczoną

była w kassie ogniowéj za 50,000 funt. szter., a przy pomocy rządu i kupiectwa, niezadługo pewnie nowa z jéj szczątków powstanie, i zniszczoną może jeszcze pięknością i przepychem przewyższy.

Na zakończenie musimy przytoczyć jeszcze jednę okoliczność, która na całym zgromadzonym tłumie, głębokie, lecz smutne uczyniła wrażenie. O dwónastéj, właśnie gdy płomienie ogarniały północno-wschodnie skrzydło, i wznosiły się już ku wieży, muzyka dzwonowa zaczęła grać o zwyczajnéj godzinie starą pieśń: „Niemasz szczęścia w domu," przez całe pięć minut. Poraz ostatni słyszano srebrny brzęk dzwonów, co 3 godziny powtarzających kolejno owe trzy pieśni: „*God save the Queen*" (Boże zachowaj królowę), „Cieszcie się z życia" i „Niemasz szczęścia w domu" a w niedzielę Psalm 104, które tylokrotnie obywateli i odwiedzających giełdę rozweselały; umilkły już teraz na wieki. Niezadługo potém spadły stopione dzwony. Piérwsza nasza rycina wystawia zewnętrzny widok giełdy, a druga (str. 144) wewnętrzny dziedziniec z przepyszną kolumnadą. Posąg Tomasza Gresham'a umieścimy w następnym numerze Magazynu.

WOLF,

STARA GAWĘDA.

przez *Kaz. Wład. Wojcickiego.*

1.

Czarne chmury, olbrzymie, silny wiatr popędzał, zajmowały one coraz więcéj widnokrąg dotąd czysty i jasny. Słońce blizkie zachodu odbijało ponuro promienie, w napływające mgły ciemne, co podobne do wyniosłych Karpat, coraz się wyżéj piętrzyły. Dalekie grzmoty, zwiastuny burzy, trwogą przejmowały podróżnych, którzy po złéj drodze, a jeszcze gorszych mostach, musieli wstrzymywać rzeźwe bieguny.

Na *gościńcu*, co tak zwano w końcu 18go wieku, u nas, drożyny, gdzie ledwie dwoma końmi przejechał, toczyła się wspaniała kareta pani *Sędzinéj*. Dwóch wysokich hajduków, gdzie zła droga lub most przykry, postępowało obok, aby w każdym przypadku silnemi barkami wesprzeć ten korab' Noego. W nim to, siedziała Pani Sędzina wyróżowana, z dziesięcią muszkami na zmarszczonéj twarzy, nielicząc much większych, bo te się ukrywały w nosie. Mnogości ich nie mógł żadnym rachunkiem objąć poczciwy Sędzia, czuł ich tylko żądła nieraz, i brzęczenia, zarówno w dzień biały, jak i noc ciemną. Jechała wyróżowana, bo miała nadzieję przed wieczorem stanąć we Lwowie: dla tego i wysznurować się kazała, kibić objąć rogówką, i z trzech stron poduszkami wypchać. Na kolanach w klatce mosiężnéj siedziała piękna zielona papuga: kiedy ją Pani Sędzina kupiła, zaledwie własnym umiała odezwać się głosem, dziś, towarzyszka ciągła swéj pani, tyle od niéj przejęła, że umiała doskonale a długo paplać. Najwięcéj jednak skubiąc się dziobkiem po papużych piórkach wrzeszczała: „Mężu srogi! okrutniku! zemgleję! ach! migrena! spazmy!" Snać że takie wykrzyki najczęściéj słyszéć musiała z ust swojéj pani. Nieraz to ptaszę nabawiło strachu dobrego Sędzię. Poczciwy ziemianin, co wtedy czuł całą rozkosz życia, kiedy ukochana małżonka raczyła gdzie wyjechać, nieraz miał sobie poleconém troskliwość w pielęgnowaniu papugi, aż do jéj powrotu. Wsadziwszy do poszóstnéj karety żonę, z ukłonem nizkim żegnał, i wzdychał; pani Sędzina przypisywała to czułości jego, ale to westchnienie jak tam na ucho przyjacielowi zeznał, było odetchnieniem swobodném, pozbycia się choć na krótko tak wielkiego ciężaru. Owoż papugę zaraz brał z sobą i stawiał w swojéj sypialni. Raz zanadto rachując butelki węgrzyna w piwnicy ustawione, zaledwie trafił do łoża i usnął przed samym obiadem. Wyszumiawszy nieco, roztwiera zaspane oczy, aż słyszy głos swéj żony. „Mężu srogi! okrutniku! zemgleję! migrena! spazmy." Zrywa się jak oparzony, krew mu w żyłach marznie, wytrzeszcza z przestrachem oczy i po chwili dostrzega, że to tylko były słowa papugi! Trzeba było widzieć radość biedaka, podskoczył ze trzy razy, nakręcił wąsy, głaskał czuprynę, i śpiewał ulubione: „*Ongi z Marysią moją w gaiku.*" Była to pieśń Węgierskiego, któréj nauczył się od samego poety przy hulackiéj uczcie. Raz ją tylko przez całe pożycie małżeńskie zanócił przy swéj żonie, dodawszy od kogo ją pojął; ale pani Sędzina tak mu zmyła głowę, przeklinając i rozpustnego (jako nazywała Węgierskiego) poganina poetę, że mąż biédny, choć piosnka ta była wykrzykiem jego radości serdecznéj, zanócił wtedy tylko, gdy był pewien że małżonka już przejechała graniczny kopiec.

Teraz na szczęście Sędziego, i papuga wraz z żoną odjechały. Obok pani Sędziny siedziała panna sędzianka Ewelina, podług metryki matki 18 zaczęła, a podług proboszcza

w parafii 25 lat skończyła. Na przodzie drzemała *panna* respektowa, ze szpicem kudłatym, a daléj wyglądała oknem pojazdu druga córka w kwiecie wieku, ładne dziewczątko w 18 roku. Resztę wolnego miejsca zajmowały pudła, pudełka, szkatułki, zawiniątka i t. p. Wąsaty foryś z uczernionym wąsem, i skręconym aż za ucho, siedział na koźle, i probował bicza, ażeby zręcznie wedle rozkazu pani trzaskać po ulicach miasta. Wystrojony wedle gustu saméj pani w niedźwiedzią czapkę i galon u kołnierza, mniéj o resztę stroju dbał.

— Dobrze się zasłoń gawronie fartuchem, to będziesz jak książęcy woźnica wyglądał! Taką radą skończyła dane mu nauki. Kredencerz stary, już czekał z przygotowaną pomadą, posadzono forysia i w obecności pani, wyszwarcowano mu wąsy maścią wosku, oliwy i sadzy, do któréj trochę mięty dla zapachu przymięszano. Kredencerz znał swoję sztukę: próżno biédak ściskał zęby; jak wyczernił wąsy, skręcił i podniósł w górę, aż gębę foryś otworzył, i łzy mu stanęły w oczach. Stały wąsiska by kij dębowy, a fryzer upewnił go, że śmiało na nich wrona usiąść może a niezegnie. Rozkaz miał najsurowszy, by *postury* wąsów nie zepsuł; tak więc całą drogę wyszczerzał zęby choć niechciał, bo mu wąsy skróciły wierzchnią wargę. Za karetą szła bryka brodzka we trzy konie, siedziało tam dwie służące, a kiedy droga gładka, dosiadali tam i hajducy.

Pani w złych sosach, nie wyrzekła słowa, choć jéj się język z nazwyczajenia przewracał wśród przyprawnych ząbków; papuga przeczuwając burzę spuściła smutnie głowę. Co za szkoda, że tego Sędzia nie widzi, policzyłby to za cudo, dziw niesłychany! Żona i papuga milczą! Obie córki, drżące na skinienie matki nie śmiały wyrzec i słowa, panna spała: cała przeto kareta, była w téj chwili milcząca jak żałobny karawan.

Nagle t r z a s ł o! wedle wyrażenia panny służącéj czyli piorun uderzył. Wszystko zawrzało w karecie, jeden krzyk rozległ się po obszernych ścianach suknem perłowém obitych. Córki przytuliły się do siebie, panna schowała głowę pod szpica, papuga spadła z prętu klatczanego, a pani? pani robi silnie piersiami. „Migrena, spazmy, zemglęję" woła słabym głosem. „Zemglęję okrutniku! srogi mężu" dodaje papuga. — Panna służąca woła: stój! stój! Foryś zatrzymał konie. Woła: noża! noża! Hajduk wysoki przez okienko podał swój *cyganek*. Rozcięto sznurówkę, wypadło kilka poduszek, Sędzina ocalona, Sędzina oddycha.

Ale nie tu koniec że raz trzasło, jak zaczęło trzaskać z przodu i z tyłu, na prawo i lewo, konie ruszyć niechciały, foryś co prędzéj na dół skręcił wąsy, bo słyszał pana, że ostre końce ściągają pioruny. Wszystko w karecie bez życia, na brodzkiéj bryce wrzawa, bo hajducy przed burzą, chowają się w budę. Pani Sędzina każe jedwabnemi chustkami okna zasłonić, płacze, trzęsie się, róż starty, muszki obleciały. A tu grzmi, i trzaska piorun po piorunie. Nagle krzyknęła, przypomina sobie że cztery potężne z mosiądzu gałki zdobiące wierzch karety mogą ściągnąć piorun. Wołają hajduków, ci po wielkich usiłowaniach, obszarpawszy karetę, wyłamali ozdobę wielką, nad którą się nieraz organista podziwiał.

Przecięż deszcz ustaje i burza, pani każe jechać, a uważać gdzie karczma żeby do najbliższéj zajechać. Las ciągnie się długo, mrok ciemny zapada, na uboczy stała karczemka licha, tam więc zawraca foryś.

Zajeżdża kareta i bryka, żyd gospodarz kłania się nizko, ofiaruje jeden alkierz, więc pani wysiada.

Wchodzi do piérwszéj izby, jakiż ją widok uderza, do 16 zbójeckiéj miny zgromadzonych widzi ludzi, między niémi w pustelniczym stroju, poufale bawi jeden. Zaledwie doszła do alkierza, zemglała na prawdę, córki, służące poczęły ją cucić. Kiedy wróciła do zmysłów, przyciąga córki do siebie i cichym przestraszonym głosem wymawia: „to są zbójcy." Krzyknęły dziewczęta, służące drżały, hajducy schowali się w siano na wyżki.

W godzinę wchodzi ten co strój pustelnika miał na sobie, zrzuca go przed zdziwionymi, i rzecze:

— „Jestem Wolf; lecz nieobawiaj się Pani, kazałem strzedz ludziom moim jéj rzeczy, nic nie stracisz, śpij spokojnie. Dobranoc." Skłonił się grzecznie i wyszedł.

Zmęczona przestrachem, uspokojona nieco, zasnęła wkrótce Sędzina, córki tylko i stara panna służąca spać nie mogły, zobaczywszy piérwszy raz w życiu rozbójników. Nazajutrz rano, pusta była karczma, nic nie zginęło, Wolf z bandą swoją opuścił gospodę równo ze świtem, a Pani Sędzina, zajechała szczęśliwie przed wieczorem do Lwowa.

2.

Między 1798 a 1799 w *Sanockim* (*) zaczął głośno słynąć wspomniany rozbójnik. Był to żyd polski, na czele swojéj bandy napadał na dwory szlachty i łupił. Nieraz wszakże

(*) W Galicyi.

postępował szlachetnie, jak widzieliśmy obejście jego z panią Sędziną.

Był w tamtych stronach szlachcic jeden, którego rodzina dotąd żyje: słynął z bogatéj szkatuły, szczególnie w gotowiznę obfitéj. Wolf, kilka wypraw zamierzał; ale szlachcic nie bity w ciemię, czujnością swoją wszystkie niweczył. Rozjątrzenie Wolfa doszło do najwyższego stopnia, równie jak ostróżność szlachcica, który przecięż po długim niepokoju, znalazł starego wojaka, co za przyrzeczoną nagrodą stu czerwonych złotych przyrzeka schwytać żywcem, lub zabić rozbójnika.

Ale te łowy nie były łatwe, bo zwierz ten miał odwagę i niedźwiedzią siłę. Rojnik, tak się zwał wojak, przybiera do pomocy dwóch śmiałków, a przebrany jak zagrodowy szlachetka, czekał sposobnéj pory.

Szlachcic dla bezpieczeństwa własnego miał między żydami takich, co dobrze umieli Wolfa tropić, zawsze więc wiedział naprzód gdzie się obraca, i kędy zamierza swoje napady. Wkrótce przeto Rojnik odbiera wiadomość, iż o dwie mile w samotnéj karczmie a pobliskiéj lasa będzie Wolf obiadował: przyjedzie na siwym koniu, a lisia kurtka, i czapka z baranem, odróżni go łatwo od innych. A więc łowy poczęto, bo zwierz wytropiony.

W samotnéj karczmie, siedział za stołem silnéj budowy ciała człowiek, w lisiéj kurcie, w czapce baraniéj, i siwy koń zbasany i okryty pianą stał w stajni przy żłobie pełnym gołego owsa. Rysy twarzy pociągłe, płeć śniada, oczy czarne i włosy krucze, co wypryskały z pod czapki, zdradzały w nim pochodzenie wschodnie. Choć broni nie miał przy sobie widocznéj, kto się dobrze wpatrzył, ujrzał z pod kurty rękojeść bogato ozdobną pistoletu lub noża. W olstrach przy siodle, spoczywało dwie pary pistoletów.

Zaledwie zaczął wina popijać, gdy usłyszał zdala piosnkę. Nastawił ucha, pieśń coraz brzmi wyraźniéj, rozróżnia w niéj dwa głosy, to go niepokoi. Nareszcie roztwierają się drzwi karczmy, i więcéj się wtacza niż wchodzi dwóch pijaków już dobrze podciętych. Widok ich rozchmurzył posępne czoło; zmierzył okiem, i pomiarkował że im podoła. Usiadł więc spokojnie, i spożywał obiad. Przy końcu swéj uczty skromnéj, słyszy znowu piosnkę. „Trzeci!" pomruknął i wstaje nagle, rzuca talara na stół. Pijacy, zdawali się trzeźwi zupełnie, powstali także. Wtedy Wolf posuwa się do drzwi, kiedy w nich nagle okazuje się Rojnik podpiły.

Przybył za późno, a przeto nieudaje więcéj pijanego ale rzuca się na Wolfa, dwaj jego towarzysze chwytają go w poły. Oskoczony nagle, zręczny i silny trząsnął trzema, powalił na ziemię, doskoczył konia, i już za karczmą.

Rojnik nie tracił czasu, porywa za sztuciec co go wchodząc zostawił przy drzwiach, chcąc żywcem pochwycić zbójcę, mierzy za uciekającym, a za strzałem Wolf uczuł, że krwią własną broczy konia. Dopadłszy lasu zeskakuje z siodła, i piechotą uchodzi. Złapali konia a smutni z zawiedzionego celu wyprawy, wrócili do dworu szlachcica, ukazując lichą zdobycz.

3.

Pan Sędzia wychodził z lasu z ulubionym wyżłem, kiedy ujrzał pędzącego na siwym koniu człowieka. *Farbował* mocno, jak wyrażał się późniéj językiem myśliwskim, co znaczyło że był krwią zbroczony, i utamować jéj nie mógł. Widział jak zsunął się z konia, i słabą ręką bił go, ażeby odpędzić od siebie: jakoż koń rozhukany poleciał w drugą stronę lasu. Ranny biegł prędko; ale wkrótce siły go opuściły, upadł prawie przy nogach zdziwionego Sędziego, błagając o ratunek. Poczciwy ziemianin podarł dwie własne chustki, okręcił rany, dał z torby borsuczéj wódki anyżówki, a wspierając kroki osłabione, prowadził w głąb' coraz lasu gdzie nieznajomy wskazywał. Lubo krwi dużo utracił, gdy się jednakże wśród gęstwiny znajoméj ujrzał, stanął, nieco spoczął i nagle tak silnie świsnął nad uchem Sędziego, że ten przestraszony wypuścił strzelbę z ręku, a wyżeł podskoczył i zawył. Na to hasło, po krótkiéj chwili, świśnięcie równie silne odpowiedziało, i raptem stanęło trzech dobrze uzbrojonych ludzi, którym złe z oczu patrzało, co drżeniem dobrego nabawiło sędziego. Ranny coś im powiedział na ucho, dwóch go wzięło pod ręce, trzeci przy sędzim stanął. „Dziękuję ci dobry panie! wyrzekł wtedy, niech ci Bóg nagrodzi. Mój towarzysz wyprowadzi cię na drogę." I ścisnął za rękę ziemianina, który z rozczulenia miał łez pełne oczy. Przewodnik dany, długo z nim krążył zaczém trafili na gościniec, wtedy zdjął kapelusz, na znak pożegnania.

— Powiedz mi mój przyjacielu, co to za człowiek, któremum małą oddał usługę.

— Jest to Wolf!

Sędzia odskoczył z przestrachem, przeżegnał się z podziwienia. Obejrzy w około, niéma nikogo, wziąwszy więc nogi za pas, przybiegł do domu zmęczony: na samym progu pośliznął się mocno, uderzył głową o ścianę, co wróżyło jakieś *złe*. Nad wieczorem

nieszczęsny *prognostyk* ziścił się co do słowa, ujrzał bowiem niespodzianie owo *złe*, bo razem wchodzące do swojéj sypialni papugę i żonę, z szczęśliwym powrotem z miasta do domu. Zamarła mu w ustach już wyglądająca piosnka: *Ongi z Jagusią moją w gaiku*, którą tylko co miał zanucić wracając do wesołości, po przestrachu rannym.

— A cóż Wasze panie mężu, niesłyszałeś że zajeżdżamy, ani wybiegłeś na ganek.

— Kochanciu, odrzekł z stulonemi uszyma dobry ziemianin, niesłyszałem, niesłyszałem, bo to strach ma duże oczy.

— Jaki strach? zapytała przestraszona małżonka, oglądając w około alkowę z bojaźnią.

— Tak strach, i wielki! widziałem, widziałem Wolfa rozbójnika. Małżonka upadła w duże z poręczami krzesło pradziadowskie adamaszkiem i złoconemi gwoździkami wybite, poczém krzyknęła! Były to przepowiednie blizkiego zemglenia. Na ten raz szczęściem, nieomgłała wcale, i gdy sędzia chciał, dla ocucenia, nos kręcić żylastemi palcami, odepchnęła go i zawołała z westchnieniem: „I jam widziała Wolfa." Sędzia odskoczył, Sędzina opuściła nogi, i poczęli nawzajem opowiadać sobie nadzwyczajne przygody. Wkrótce cała okolica o niczém nie mówiła, jak o szczególnych przypadkach z rozbójnikiem tego stadła małżeńskiego. Sędzina postanowiła wydać bal, ażeby wszystkim tak romansową opowiedzieć przygodę. Jakoż we trzy dni przy zjeździe gości licznych wygadała wszelkie szczegóły z dziesięć razy obecnym; małżonek również przy butelce, każdemu niezaniedbał i swojego przypadku opowiedzieć, z tą różnicą, że po obiedzie, niemogąc już komornikowi zaczętéj o Wolfie dykteryjki skończyć, przewrócił się przy stole, i musiano go wynieść do alkowy.

Nazajutrz po świetnym balu, zbudzono wcześniéj pana Sędziego z doniesieniem, że przybył jakiś podróżny i ma pilne polecenie. Wkrótce stanął przywołany w alkowie, był to Rojnik. Zwięźle niedługo opowiedział swoję wyprawę na Wolfa, jak go postrzelił, zdobył konia, ale sam łotr uszedł przy pomocy sędziego. Zbladł leżący ziemianin i począł wyklinać ciało i duszę, że niewiedział kogo wspomagał, zakończył swoję obronę przyzwaniem swojéj małżonki. Rojnik musiał co do słowa powtórzyć znowu opowiedanie swoje, a pani domu kazawszy przynieść śniadanie, niezaniedbała opisać i własnego zdarzenia z Wolfem.

— Wielmożna pani! rzekł Rojnik, pokręcając wąsa, już mi się teraz nie wymknie, ślad którym go tropię, po tém co tu słyszę jest pewny, da Bóg w przyszłą niedzielę, będę go miał w garści.

— Ostróżnie Wasendzi z tym łotrem, przebąknął Sędzia, kiedy taki silny.

— Juści z nim w załebki nie pójdę, ale kula jedna oczyści ziemię z tego gadu: i wskazał na sztuciec który trzymał w ręku.

Nadeszła niedziela, zadzwoniono na mszę, sęstwo już się wybierało do kościoła, gdy od przyjaciela swego, onego szlachcica z którego poręki Rojnik ścigał Wolfa, odebrał list z podpisem: pilno. Wrócono więc do alkowy, i sędzia przeczytał swojéj małżonce następne słowa.

Wielmożny mnie wielce miłościwy Sędzio!

Mam honor mu donieść, iż w piątek o samo południe, skończyliśmy sprawę z owym głośnym Wolfem. Powziąwszy ślady, że się z ran odebranych nie wylizał, i ukryty w żydowskim domku poblizkiego miasta się leczy, wraz z Rojnikiem, i czeladzią moją, napadliśmy cichacza.

Leżał poganin, nad łóżkiem, w umyślnie przyrządzonéj pod pułapem skrzyni ukryty dobrze. Kiedyśmy do owéj weszli izby, nie dał śladu, aż kiedy Rojnik rozrzucać począł pościel, łotr celnym strzałem, o mało nie zabił mego starego wojaka. Ale też odebrał za swoje; jak tylko łeb pokazał ze swojéj kryjówki, kula jednego z pachołków ugodziła dobrze, ani ziewnął więcéj i wyleciał jak długi z onéj skrzyni.

Wiedząc że równie wielmożnego Sędziego, jak i godną jego małżonkę to obchodzić może, donosząc o tém

mam honor pisać się ich

dobrym sąsiadem i

najniższym służeczką.

N.

Sędzia odczytawszy spojrzał na żonę.

— No i cóż kochanciu?

— Idźmy do kościoła, trzeba proboszcza prosić, aby choć to rozbójnik, odprawił mszę za jego duszę, gdy tak szlachetnie z płcią się piękną obchodził.

I podając rękę mężowi, spojrzała w duże zwierciadło, które ją zawsze zapewniało, że do płci *pięknéj* należy, lubo sąsiedzi inaczéj utrzymywali, a mąż potwierdzał ich zdanie trzymając się zapewne przez upor starego przysłowia: „*Vox populi, est vox Dei*" „*głos ludzki, jest głosem boskim.*"

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

Ruben Rafałowicz księgarz Wileński, ogłosił prospekt na prenumeratę dzieła ś. p. Jędrzeja Śniadeckiego: *Teorya Jestestw organicznych.* Dzieło to, zawierające się w dwóch tomach wydania piérwszego, wyjdzie teraz powtórnie, z niektóremi poprawami i uzupełnieniami, tudzież przemową samego autora, we trzech tomach. Przyozdobi je portret autora zrobiony przez P. Rypińskiego, a litografowany u P. Klukowskiego. Druk ukończy się do 20 czerwca teraźniejszego 1838 r. Księgarnia szkół publicznych w Warszawie przyjmuje na to dzieło prenumeratę, która wynosi złp. 26.

— Nakładem Augusta Emman. Glücksberga księgarza Warszawskiego, wyszły na świat w roku bieżącym 6 i 7 tomy *Dzieł Jana Śniadeckiego*, wydania Michała Balińskiego. Obejmują one Jeografiją czyli opisanie matematyczne i fizyczne ziemi. Mamy już więc kompletne Dzieła Jana Śniadeckiego, wydane nader ozdobnie, na papierze pięknym, drukiem nowym i cale ładnym, z tablicami wybornie rytowanemi. Żywot znakomitego autora, przez Michała Balińskiego, we dwóch częściach skreślony, stanowić będzie tom piérwszy czyli wstęp do tych dzieł, do którego ma bydź dodany portret Śniadeckiego na stali ryty. Niewątpimy że chlubnie znany w literaturze naszéj wydawca, nieomieszka przydać do całego zbioru dzieł wspomnionych regestru alfabetycznego, którego potrzeba jest konieczną. Cena prenumeraty na wszystkie 8 tomów wynosi złp. 32.

W piérwszym zeszycie kwartalnika petersburskiego za rok bieżący, wydawanego pod tytułem: *Sowremiennik* (Spółcześnik) umieszczone jest przez J. Pożarskiego naśladowanie z polskiego znanéj ballady *Powrót Taty.*



(WIDOK WEWNĘTRZNY GIEŁDY LONDYŃSKIÉJ.)

w WARSZAWIE, w DRUKARNI J. GLÜCKSBERGA, KSIĘGARZA SZKÓŁ PUBL., ULICA MIODOWA N. 482.